NUMER 9. DNIA 2-go MARCA 1902 ROKU ROK X.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

AURELI URBAŃSKI.

## Zmierzch i jutrznia*).

Dantyszek w Czarne Lucyfera kraje
Szedł i za życia przechodził przez piekło.
Liczną on spłodził maroderów zgraję;
Skubiąc mu laury, iluż ich uciekło?
Niechże mnie szczodry jego duch nie łaje,
Że mej gawędy nić snując rozwlekłą
Z wieczystych cedrów strząsę nieco szyszek,
Wśród gwiazd błądzący warchoł, nie Dantyszek.

*

Lecę. Meteor, jak skłuty ostrogą,
Pomknął, połozów uprzedzając starcie.
Tak mi swobodnie, i lekko, i błogo!
A jednak oko wstecz wraca uparcie,
Tęsknoty dążąc wytyczoną drogą
Ku Wisły taśmie, ku Wilji, ku Warcie...
Patrz! jak na marach, tłem czarnego sukna,
Krwawym jedwabiem czerwienią się włókna.

*

Nagle — źrenicy podchwycą mi strzałę
Dwa cienie. Z ziemi ku niebu wytrysły
Wielkie, potężne, szlachetne, wspaniałe.
Dziwnie mi słodko rozmarzyły zmysły
Białe te widma, posągi dwa białe,
Co z mgieł wykute w przestworzu zawisły.
Promieni jasny snop, padając z góry,
Greckie ich złocił, klasyczne kontury.

*

Widzę go. Starzec, kość z kości rycerzy;
Wieków sędziwość włos mu śniegiem sprósza.
Rosły i dumny, jak dąb Białowieży,
Z fantazją wylot zarzucił kontusza.
Na piersi ryngraf. W kord i w Boga wierzy —
A wsze pospólstwo harda depce dusza.
Wzrok niemą skargą ku zenitom strzela;
W garści: Puławskich martwa karabela.

*

Siwca skroń, ni to pergamin pocięty,
Na krzyż w głębokie pokrajana blizny:
Ciężkich terminów owo dokumenty,
Ofiar i zasług bujny plon a żyzny.
Krew dał — i wszystko Sprawie oddał Świętej:
Bił się — „szlacheckiej“ obrońca Ojczyzny,
A służalczymi gardząc suplikanty,
„Z wrogiem przenigdy nie chadzał w aljanty“.

*

Przed nim zaś młodzian — chłop w zgrzebnej koszuli,
Świtką potulny, krakuską junacki.
Cierniem kolczastym do skiby się tuli
I piędzi ziemi nie da wydrzeć lackiej;
Lubo szatani żgali i szczuli,
Lwem, nie hyeną, wyjdzie z ich zasadzki —
Boć Matki Bożej obraz mu proporcem,
A mieczem jego: kosa wbita sztorcem.

*

Twardą opoką chłopek on bez zbroi;
Młot jej nie skruszy, śruby jej nie zgniotą.
Gdzie kord popryskał — lemiesz tam dostoi;
Żelazo wytrwa — kędy zmiękło złoto
W oporze chamskim, w chamskiej Wierze twojej,

---

*) Za łaskawem zezwoleniem W. Urbańskiego, znanego przyrodnika, a ojca Aurelego, podajemy tu wyjątek z jego ostatniego, a niedokończonego utworu, p. n.: „Warchoł“, zawierający ostrą, wzorowaną na Słowackim satyrę, na stosunki społeczne w Galicji. *H. B.*

Nowa kiełkuje Polska, o Heloto!
I pięść odbierze gruba, spracowana,
Co białe ręce zmarnowały pana...

*

Był ci szlachetka — nowej zwiastun pieśni —
Wódz, duchem magnat, acz w chłopa sukmanie.
Czemuż tak późno? Ha, czemuż nie wcześniej
Grzechu to zmycie, z próchna to powstanie?...
Wiek jeno rychlej — a z rozkładu pleśni
Życia by nowe trysnęło zaranie —
I dziś dwa widma nie stałyby luźno,
Jak dwa upiory... Ah, czemuż zapóźno?

*

Ot, i dziś czujnie mierzą się oczyma
I skarg szelesty mgieł powiewy niosą;
Pan — mordy wietrząc, brzeszczota się ima,
Chłop — wietrząc zdradę, pobrzękuje kosą.
Lecz pękną lody... i odtaje zima...
I maj rozkwitnie... i miłości rosą
Oczy przemyje... i ty przejrzysz, chamie —
I ty, herbowny! — — Staną: ramię w ramię.

*

Marjackie w duszy zagrały mi dzwony
I rozgorzała słońcem jej ciemnica —
I pochyliłem barki, rozmodlony,
W chmurne zapatrzon zapaśników lica.
Bar mignął w dali... Racławic zagony...
I u stóp chłopa ległem, i szlachcica.
Spalone ku nim wyciągnąłem dłonie —
Nad nimi Orzeł ważył się w koronie.

*

I w białych duchów patrząc twarze obie,
Kamieniem rzucon, jak mnichy się korzą,
Już nie w potrójnym widziałem Ją grobie,
Lecz Żywą — Wielką — Promienistą — Bożą.
Przeszłości żegnaj relikwjo... Cześć tobie!
Witaj przyszłości świtająca zorzo!...
Krzyżem rozpięty, upojenia głazem
Korny ja-m leżał — i dumny zarazem...

# OBOWIĄZEK PUBLICZNY.

Wytworzyła się u nas, w Galicji, zgaszona i nieszczęsna atmosfera, strasznie ciasna i strasznie przygnębiająca, bo z fałszu, obłudy i z zamykania ust pochodząca. Społeczeństwo żywe, z tysiącem zagadnień przed sobą, — z tysiącem zagadnień za sobą, — nie bierze gromadnego udziału w wielkich zadaniach i wypadkach publicznych, — odsuwa się od obowiązków, obywatelskich, — od spełniania rzeczy prawem nadanem i prawem natury nakazanych. Ci sami ludzie podejmują u nas zawsze każdą akcję, sprawy ważne, wielkie i święte stoją jednostkami, nie gromadą. Gdzieindziej inicjatywa pada, od grupy czy od grup przodujących umysłów, — wnika w ogół, który zamienia się w narzędzia działania, w czyn, — w wykonanie praktyczne; u nas pomysł, przeprowadzenie i podtrzymywanie dzieła, — na jeden spadają rachunek. Zupełny brak podziału pracy, potężna niesprawiedliwość przez przeciążanie jednych — a uwalnianie się drugich od udziału w kwestjach najistotniejszych, — paraliżuje i uniemożliwia przedsięwzięcie jakiejkolwiek roboty, bez sceptycyzmu, rezygnacji i wiary w trwałość dzieła. To zesztywnienie i znieczulenie mas jest prócz wrodzonych skłonności, niekonsekwencji i gorączkowego temperamentu, najsilniejszym kluczem do zrozumienia przysłowiowego słomianego ognia, buchającego na początku przełomowych wypadków narodowych pożarem, — a ginącego marną, tlejącą iskierką. Ogół nie ma ani poczucia, ani obowiązkowości, ani zrozumienia dla szerokich bujnych problematów naszych, a jeżeli się chwilowo rozrusza i wyda krzyk, — to na tym krzyku kończy, poczem z apatją, z lekkomyślnością i wystudzoną duszą, — spuszcza po sobie dłonie i z grzesznym konserwatyzmem przy dawnych zostaje błędach i potwornościach. Najgłówniejszą przyczyną tej anormalnej psychopatji galicyjskiego społeczeństwa, — to brak odwagi cywilnej. Odwaga cywilna, — nie judaszowa słodycz i milcze-

nie, — są żywiołową władzą, która skutecznie odradza i odmładza narody, dodaje im moralnej pokrzepiającej mocy, — wynosząc je na wyżyny szlachetności i cnoty. Rzym więcej zawdzięczał Katanowi i Cyceronowi, — niż wszystkim swoim politykom, zawdzięczał im naprawę obyczajów, podniesienie ducha społeczeństwa i zdeptania w niem zdrady i kłamstwa. Bo tak, jak jednostka fałszem się kalająca, — drze w strzępy etykę, — tak i naród, czujący złe, a obawiający się je wyznać, — schodzi na bezdroża niemoralności, która się wcześniej czy później na nim pomścić musi. Rzeczpospolita była wzorem jaskrawym anarchji, warcholstwa i politycznej nieuczciwości. Brak w niej było odwagi cywilnej tak samo, jak dziś, — bo drobna szlachta stała na usługach ochlokracji, — a ochlokracja na straży egoistycznych interesów klasowych, prowadzących wprost do najgorszego fermentu i rozkładu. Zło przybierało tak potworne rozmiary, że kresu jego doszukać się trudno było, a wśród powszechnego zamętu i cnota gasła... Jan Stanisław Jabłonowski opowiada w „Skrupule bez skrupułu“, że na jednym z sejmów za Jana Kazimierza, nie mógł się wykazać podskarbi Leszczyński kwitami z rachunków i dla uniknięcia skandalu przekupił posłów. Aż tu podczas sesji huknął ktoś z ławy na pytanie marszałka, czy zgoda na przedstawione cyfry: „nie masz zgody!“ — „A który to brat, com mu nic nie dał?“ — badał na głos Leszczyński. Nikt się nie odezwał. Ta dowcipna, nie pozbawiona może pewnego rzeczywistego podkładu anegdotka Jabłonowskiego, świadczy o olbrzymim zaniku w Rzeczypospolitej odwagi cywilnej, charakterów i o desperackiem zepsuciu. Brak szczerości, obrony śmiałej własnych przekonań, bez duszenia ich na dnie duszy, bez umartwiania ich i zamieniania na bierny dla społeczeństwa kapitał, — cechuje nas do dziś, jest wierną busolą naszej młodszości cywilizacyjnej, braku wyrobienia politycznego, rozumu społecznego i dowodem sybaryckiej, nie chcącej się na nic i nikomu narażać wygody. Każdy człowiek jest obowiązany czynnie manifestować swoje zapatrywania, każdy musi z duszy wydobyć swój światopogląd i dorzucić choćby ziarno do powszechnej misy społecznej, — aby z tej mieszaniny wytryskało coraz nowe, ewolucyjne życie, — a nie kisł na jej dnie wiecznie ten sam zatęchły osad. Kto zdala stoi od wielkiego ogniska zbiorowego życia, odrabiając jedynie djurnum chlebowe, kto ani kropli krwi serdeczniejszej nie złoży na ołtarzu za dobro powszechne, — jest ze stanowiska społecznego nieużytkiem, — aparatem mechanicznym, — nie umysłem i duszą. Praca zaś powszechna, to nietylko aktualna polityka!... Pisarz może stokroć skuteczniej propagować swoje ideje, — niż polityk, zwołujący wiece, zakładający stowarzyszenia, kierujący organem publicystycznym... Wybitne bardzo dzieła naukowe wszechświata odbijały w sobie jak w soczewce tło i przewodnią myśl epoki, w której powstały... To dowód, że życie i w niem młodość są nieśmiertelnymi objawami rozwoju ludzkiego, — że martwe prawidła o bezstronności, odgrodzeniu teraźniejszości przy badaniach nawet dawno minionych faktów, — uskutecznić się nie dadzą. Prawdziwy obywatel — civis w rozumieniu Rzymian, — spełnia swój obowiązek, korzystając z nadanych mu przez państwo praw w sposób z sumieniem, z etyką i z honorem zgodnych i starając się o ich rozszerzenie w duchu rzeczywistych zdobyczy postępu i wiedzy. Kto dobrowolnie zrzeka się przyznanych mu przywilejów, wysuwa się po za obręb społeczeństwa, nie spełnia swego obowiązku, jest suchą gałęzią na ogromnem drzewie życia. Opowiadać swe poglądy szczerze, niezawiśle, uczciwie, — to męzkość; dusić w sobie wszystko z oportunistycznych względów — to tchórzowstwo. Tchórzowstwo zaraziło naszą atmosferę publiczną w sposób niesłychany!... Ludzie boją się spowiedzi swojej duszy nie przed bliźnimi, ale murami!... Jeden strzeże się drugiego, jak denuncjanta, — wroga swej karjery. Na kłódkę zamknięte wiecznie usta, groźbą wiszących nad nią konsekwencyj przytłoczona pierś, wytwarzają melancholją, zdenerwowanie i nieukontentowanie z życia, które objawia się praktycznie marnowaniem się lekkomyślnem dziesiątek i setek dużych inteligencji. Ta bezwstydna atmosfera fałszu, lubująca się albo w ciszy, — albo w mechanicznem kiwaniu głową lub świadomem kłamaniu, — musi zdeprawować społeczeństwo i wychować je w jezuityzmie... Głównym winowajcą stanu tego, poniżającego godność ludzką, — jest nieszczęśliwe zbiurokratyzowanie Galicji, podniesienie do stanu i sfery dominującej kasty, ktora nie może kierującej roli w społeczeństwie odegrać, — a sama będąc zawisłą i skrępowaną, — jest raczej formą i administracją życiową, niż życiem samem. Ale i od tej kasty ma

się prawo wymagać, — aby korzystała z swobód jej przez państwo udzielonych i nie ustępowała z gruntu wyzyskania ich, zastraszona urojonym, bladym strachem i chęcią poświęcenia najdroższych dóbr i cnót człowieka dla wspinania się po drabinie karjery... Szczerość w wyjawianiu przekonań, — cywilna odwaga w ich przeprowadzeniu, zapał i szlachetność w służbie dla ogółu, — oto obowiązek publiczny. Spełniać go — to konieczność, — wierzyć weń, — to przykazanie społeczne.

*Ernest Łuniński.*

# PRZĄDKI.

Opowiadanie K. Smreczyńskiej.

Dawniej był u nas zwyczaj, że w długie zimowe wieczory schodziły się prządki do niektórych domów, gdzie je radzi przyjmowali; takich domów było ino parę we wsi, bo niewszędzie mieli czem świecić. — Zrazu świecili smolnymi sękami, wykręconymi ze spróchniałych kłód. Później niejakiś człek przemyślny wziął się na sposób dużo lepszy; poszczypał gnat bukowy na cienkie deszczułki, zaprawił do warsztaciku, i hyblem strugał wązkie, długie trzaski, zwane — niewiedzieć dlaczego — ślajzami. Zaświeconą taką ślajzę zaprawiali w świecznik, zrobiony bardzo poprostu z patyka; jak je wysuszyli dobrze, to się świeciły dość jasno i nie dymiły tyle, co te sęki; ale zawdy musiał ktoś mieć czas i siedzieć przy nich, poprawiać, ucierać węgle, zakładać, zaświecać; była to robota dziadków, albo starszych dzieci.

U starego Porębskiego najpierw zaczęli świecić ślajzami. Tam się też prządki najchętniej schodziły, bo miał chałupę dużą i ławek niemało. Ale niekiedy naszło się ich tyle, że brakło ław i skrzyń, musieli siedzieć za piecem, na piecu, i po wyrkach się stermać, jak padło. Bo nie ino same prządki — przychodzili i parobcy z ciekawości lub na figle, przychodzili też starzy, co sypiać nie mogli, żeby im czas prędzej zeszedł, albo żeby się pochwalić opowieściami swojemi.

Przychodził tam przy czasie i stary kościelny; umiał nabożnych pieśni moc na pamięć, a choć śpiewać nie dał rady, to przepowiadał słowami, a prządki za nim zgodnie, jak na odpuście, śpiewały.

Nie brakło nigdy i Kaspra od Grzędy, bo ten śpasownik, jak go nazywali, zawdziutki musiał przyjść i z czemsi nowem, co se przez dzień po cichu na wieczór ułożył. Czasem od ślajz i dymu zrobiło się w izbie duszno, to prządki wtedy wybiegły na pole, aby się chwilkę ochłodzić; a on tymczasem kądziele pochował, jednemu z chłopczysk poradził ledz u samego progu, światło przygasił i wypadł za niemi, aby je raptem postraszyć. Prządki, spłoszone, hurmem leciały do izby, potykały się o grzbiet leżącego i przepadały, jak snopki przeciskane przez wóz, na środek izby. Było obrazy dość, ale i śmiechu. Tak zawdy Kasper umiał cosi złowić.

Tym razem smutniej było w izbie Porębskiego, bo zawczora umarła biedna komornica i leżała w trumnie w sieni. Mało kto co i mówił zrazu; a prządki przędły.

— Wszyscy-ście już? — odezwał się stary gazda z za pieca.

— A coż wam ta, dziadku, za tym piecem brakuje? – odpowiedziały prządki, i przędły.

— Co by mi brakowało... Ale kie przyszedł kumoter kościelny, to go trza uprosić, żeby przepowiadał, a wy młodzi prześpiewujcie, nie zwieszajcie głów. Lepiej jakbądź Boga chwalić, niż o różnościach świata myśleć. W sieni leży niebożyczka, trzaby i za jej duszę co zofiarować...

Starzy gazdowie przytaknęli:

— Oj, tak, tak, bo i nam niezadługo tego bedzie trzeba.

Jeden z kąta się odezwał:

— Oho, bo ona ta już usłyszy!

— Bedziesz tam cicho, niedowiarku! Trup nie usłyszy, ba dusza. No, zaczynajcie kumie, a ty wszystka zgracho, śpiewaj, ale razem, zgodnie!...

Stary kościelny przeżegnał się, a za nim wszyscy, i zaczął zwolna przepowiadać:

„Wszyscy ludzie posłuchajcie
I na koniec pozior dajcie —
Bo dzień sądu, dzień straszliwy
Nadejdzie bardzo smutliwy“.

I ześpiewali parę pieśni: to o sądzie ostatecznym, to o duszach w czyścu; kościelny przepowiadał, a ci wiedli nutę, jak które mogło i zdołało.

Aż się wreszcie kościelnemu zaczęło drzemać.

— Idźcie już spać, chrzestny ojcze — doradzali młodzi. — Dyć już dość tego bedzie na chwałę Boską, — czy nie?

Stary od pieca, słysząc to, zabiadał:

— Ej, ta młodzież dzisiejsza, ta młodzież! Już sie jej cnie widzicie... A tu, choćby człek całe życie chwalił Pana Boga, to i tak nie przewieldzy. O, bo nię! Przyjdzie ona starość ku wam, przybliży sie i koniec. A na ten koniec ostatni nikt sie nie obziera...

Kościelny dorad usłuchnął, bo nie mógł nijak snu przemódz; pożegnał się ze wszystkimi i pomału poszedł.

Teraz chłopcy i dziewczęta zaczęli suszyć głowy starym, żeby im opowiadali ciekawe powieści.

— Wy, dziadku od Wyźnego, opowiedzcie co o strachach! — prosili chłopcy.

— O nie, dziadku, nie o strachach, bo by my sie bały iść do chałup, raczej powiedzcie co o czarownikach.

Dziadek się nie dał długo prosić. Wysunął się bliżej światła i zaczął: — No słuchajcie i uwazujcie pilnie, bo co wam opowiem, to prawda. Jakech jeszcze parobkował, to na naszem osiedlu był gazda, przezwiskiem Rokita, ale wyście młodzi nie zaznali, bo to wszystko już dawno pomarło. To, moiściewy, na tego Rokitę gadali, a bardziej na jego babę, że oni narabiali z czarami. To też ja nieraz zaszedł z ciekawości i zastałech ją czasem, jak w maślniczce robiła i masło wybierała, to aże-ch sie za głowę łapał, bom takiej kupy masła nie widział, jak żyję, ani na plebanji, ani na jarmarku.

— O rety, rety! E coż oni do tego wiedzieli? — pytały prządki.

— Ba, co wiedzieli... — odkrzypnął stary i prawił: — Przestęp w ogródku mieli, ten, co to zabiera z za dziesięciu miedz mleko i masło.

Młodzi sie zadziwowali i zaczęli pytać:

— A widzieliście też, dziadku, jakie to było?

— Abo to tak łatwo było ujrzeć! Płot był wysoki... Zaglądali my nieraz ukradkiem, to my widzieli liście czarne i szerokie, ale to nic — liście, bo to w korzeniach ma siłę, i to wam takie to nieszczęście: jak go poruszać wtedy, kie nie trza, to buczy... tak wam wyraźnie buczy, jak wół, kiedy się zabiera bóźdź i darnie nogami wyrzuca.

— O świecie, a kiedyż to taki czas, co go można dostać?

— Hę, kiedy... E w wiliję świętego Wojciecha koło północy. Wtedy to on nie buczy, da sie dostać. Zawdy go Rokitowa podlewała popłuczką ze skopca...

— Takie, to babom opowiadać! — przerwał Kasper.

— No, czekaj, to ja tu i co innego opowiem.. Pasternak sprzedał na jarmarku woły i, jak to zwykle litkup piją, napił się po swojemu, ledwie sie przychwiał do chałupy. Pieniądze wraził na półce do garnka i prasnął ciałem na pościel. Przededniem dziewka wstała i, po ciężkiem niewyspaniu nie przetarłszy oczów, porwała garnek z półki; nakładła w niego ziemniaków dla świni i przystawiła do ognia. Skoro sie uwarzyły, wsypała je do cebrzyka — coś zazberczało, ale myślała, że to skała — utłukła i zaniesła do chlewa. Ku południowi Pasternak wstał, zbaczuje se powoli, kany za woły pieniądze: szuka w zanadrzu — niema, w skrzyni i półskrzynku — niema, nareszcie przetrząsnął wszystko w izbie — nie, i do ostatka niema. A miał, wiecie, starego ojca... „Teraz już wiem — powiada. — Nic inszego, inoś ty, stary, wziął pieniądze. Oddej zaraz, bo jak nie, to...“ I brał sie do kija. I tak, moi kochani, straszny kłopot robił z ojcem. „Zabiję cie i zabiję — powiada — jak nie oddasz“. Ociec płakał, ręce przed synem składał, że nie widział, ale to nie pomagało. Aż nareszcie przybaczył se Pasternak, że najlepiej bedzie iść do wróża; ten mu już na-

pewno powie, kto pieniądze wziął. „Poczkaj“ — powiada ojcu na odchodnem — „Jak mi wróż powie, że tyś wziął, to tu krótka sprawa bedzie“. I poszedł na Zalesie do tego, co go to, wiecie, Czarnym przezywali. Ociec sie znowu bał strasznie i poszedł za nim przysłuchać sie, co mu tam ten czarownik powie. Pasternak zaleciał wartko, wpada do skopciałej izby i co tchu sie spytuje, czy jest prorok. „No jest, coż ci trza?“ — odezwał się gruby głos z za pieca, i wylazł stamtąd chłop zarośnięty, jak niedźwiedź, a taki, wiecie, był strasznie obdziorny, że ten o mało nie uciekł ze strachu. Ale wróż zaraz wstrzymał go słowami: „No gadaj, po coś przyszedł? O co ci to chodzi? Myślisz, że nie wiem, choć sie pytam? Przyszedłeś dowiedzieć sie o swoją zgubę. A miałeś wziąć to i to — powiada — a nie wziąłeś“. Pasternaka dreszcz przebiegł od stóp do samej głowy, bo akuratnie miał wziąć to i owo, ale z pilności nie wziął. Pomyślał se: „Już to prawdziwy wróż, a nie kto inszy, skoro tak umie zgadnąć myśli“. I ze strachem zaczął prosić: „Choćech nie przyniósł wszystkiego, com miał przynieść, to wam święcie wynagrodzę, ino chciejcie mi powiedzieć, kto mi wziął pieniądze“. — „No, dowiesz sie — powiada — ino zaczkaj chwilę“. Poszedł zaraz do komory... Ale to musicie wiedzieć — zboczył stary — że on tam w tej komorze miał djabła małego i radził sie go w każdej okazji, jak kto do niego przyszedł. Tak i tym razem poszedł sie dowiedzieć, kto wziął za woły pieniądze. Na ten czas przywlókł sie i ociec Pasternaka. Ale sie bał wleźć do izby, ino se stanął pod oknem komory i na szczęście wysłyszał, co djabeł powiedział wróżowi. Bo ten, jak wszedł do komory, to zawołał: „Biesu! Powiedz ino, ale prawdę, kto wziął te pieniądze?“ — „Pieniądze świnia zjadła. Po pijanemu wrzucił je do garnka, a dziewka, nic nie wiedząc, świni w tym garnku wstawiła ziemniaki. Ale powiedz tak, że ociec te pieniądze wziął — niech sie ta i mnie z tego coś dostanie“...

— O ratunecku! — zawołali wszyscy. — To tak chciał, coby syn ojca uśmiercił?

— No juści tak chciał, żeby sie mu dusza dostała, przecie jasne. Ale słuchajcie dalej. Ociec, jakech powiedział, wysłyszał wszystko i nie czekał, aże syn wyjdzie od wróża, ino czemprędzej poleciał do wójta, opowiedział mu wszystko skraja, ak to było, i prosił go, aby wziął urzędników i szedł z nim, bo inaczej to go syn zabije. Wójt sie nie dał długo prosić, wziął urzędników, i poszli. Przed chałupą zeszli sie z Pasternakiem. Ten już z daleka grozi pięścią ojcu: „Zapierałeś sie, żeś nie widział, a wróż wyraźnie powiedział, żeś ty wziął. Oddej zaraz, bo jak nie, to ja sie tu ani wójta bał nie bedę“... Ale stary był śmiały przy wójcie; odrzekł synowi: „Pieniądze świnia zjadła. Ja wiem. Odżałuj ty prz›dy świni, a jak sie nie znajdą, to już wtedy rób co chcesz“ — „No, ja tu i świni odżałuję, ale jak nie bedzie, to odbeczysz i za pieniądze i za świnię razem“. Porwał kijanię, świnię zabił, i pieniądze sie znalazły. Tak to, moiściewy, drodzy, nie trzeba i wróżom wierzyć. Bo oni choć wiedzą dobrze, to nie powiedzą prawdy. A temu ino, że im djabeł nie da.

— A cóż sie stanie z takim, co z djabłem narabia? — pytali młodzi.

— Ba, co sie stanie... — odrzekł stary Gawęda z za miedzy. — A nie słyszeliście to o Gołębiu, co całe życie z djabłem kupczył? A potem jak umarł, to taki straszny wiater był, że dach zerwało na jego chałupie, drzwi i okna, jak piórka, wydmuchnęło wszystkie, a potem powietrzem niesło, las gięło ku ziemi, drzewa zginało, jak trawę, jak cieniutkie źdźbła...

— O nie gadajcie chrzestny ojcze, bo aż cierpki przechodzą po nas...

— Dopiero by to po was cierpki przechodziły, jakbyście wy słyszeli, jak to dusza krzyczy, kie ją djabli powietrzem niesą...

A młodzi między sobą:

— Żeby to kto był taki śmiały, a wyszedł wtedy i przeżegnał powietrze, toby ją musieli puścić.

— Toby sie rozbiła, jakby na dół spadła.

— Coż znowu! Przecie to dusza, nie jajo...

— Gadajcież więcej wy chrzestny ojcze z za miedzy, boście wy dużo po świecie chodzili.

— Edyć tak, moje dzieci, nałaził sie ta człek dość, i przy wojsku sie służyło, przeganiali człowieka od kraju do kraju, ani sie nie spamięta tych miejsc i okolic, to też ta człek niejedno i widział i słyszał. Dowiedzieliście sie trochę o czarach i wróżach, to ja wam teraz powiem o strzygoniach.

— Rety!

— Jakech jeszcze był parobkiem, to nam tatuś opowiadali, a im znowu opowiadał stary gróbarz, Rapta: Jak umarł Grzesiak z Wyrobisk,

to więcej jak pół roku chodził po śmierci: niejeden go widział, bo nim telo zeszło czasu, i nim on telo schodził dróg, to sie przecie nie z jednym musiał spotkać. A najwięcej o nim opowiadała jego baba. To też strach był w całej wsi, nikt nie śmiał wieczorem iść, bo sie bali, bo to nie co inszego z umarłym sie spotkać — a on w każdziuteńką noc chodził. Zrazu to sie go i baba jego bała, pono ta i u księdza była, żeby co zaradził — ksiądz nabożeństwo odprawił, kazał sie modlić, dał i święconej wody, ale to nic nie pomagało. A potem to już i przywykła; bo, moiściewy, on ta nie próżnował, jak zaszedł; snopków omłócił parę, drew urąbał, a jak trza było, to i do lasa objechał po nocy.

— Oj rety, rety! Dyć to trudno miała być prawda! — podniosły się głosy pośród młodych.

— Jakby nie była prawda, toby starzy ludzie nie gadali. Nie cudujcie sie daremno, raczej słuchajcie dalej. I tak, jak, powiedziałech, długi czas do niej chodził. Trafiło sie dnia jednego, że ją odwiedziła kumoszka. „Bójcie sie Boga — powiada — i wy nic na to nie radzicie, że ten nieboszczyk tak chodzi? Pokiela chodzi, to chodzi, a wreszcie wam łeb urwie i tak sie skończy“. — „Co bedę radzić? — odrzekła ta — Jak wiecie co, to doradźcie“. — „A dyć ja po to do was przyszła, coby wam doradzić. E idźcież do gróbarza, zaweźcie mu choć kurę, a on mu ta już da radę“. Ona też usłuchnęła odrazu i poszła i opowiedziała mu, jak jest. „Zmiłujcie sie — powiada na końcu — abo go zagrzebcie tak, coby już nie wylazł, abo co“... Rapta popatrzał na nią: „A co wy se myślicie, że sie strzygoń da zagrześć? Choćbych go i najgłębiej zagrzebł, to wylezie. Bo wy nie wiecie, ale ja wiem... Taki strzygoń ma dwa duchy: jeden, jak u zwyczajnego człeka, a drugi tak po nocach błąka sie i błąka; jak sie spotka z takim drugim, to sie strasznie bedą bić, na zabój, choćby ten drugi był w żyjącym człeku“. Kobieta aże trzęsła sie od strachu, a on jej dalej: „No, nie bójcie sie. Co mi dacie? to poradzę“. — „Moiściewy, co już chcecie, to wam z chęcią dam, ażeby ino raz pomogło“. — „No, idź, babo, do chałupy, on ta już w tę noc ostatni raz przyjdzie“...

— Oho! to on jej ta już łeb urwie! — krzyknęły prządki.

— Cicho-że bądźcie! Słuchajcie do końca. Wieczór stary gróbarz, Rapta, poszedł na cmentarz, siadł se koło kostnicy i czekał; czekał godzinę jedną, dwie, może i więcej. Aż nareszcie sie i doczkał. Strzygoń zwyczajnie wylazł z grobu, otrząsnął sie, opadła z niego śmiertelna koszula, i taki nagi poleciał. Gróbarz podszedł, wziął koszulę, wylazł na dzwonnicę, siadł se przy dzwonach i patrzał okienkiem. Skoro zapiał pierwszy kogut, strzygoń przyleciał na cmentarz, patrzy — koszuli niema. Wtem spostrzegł na dzwonnicy gróbarza z koszulą — leci i woła: „Oddej mi koszulę! A gróbarz na to: „Pódź se po nią“. Ten wołał jeszcze z dołu, potem pieknie prosił, wreszcie, widząc, że nie wskóra, zabrał sie po nią. Jak już był blizko dzwonów, Rapta uderzył prawą ręką trzy razy w serce dzwonu — dzwon odjęknął trzy razy — i strzygoń spadł, i nie ostała z niego ino kupka smoły.

Teraz się zrobił gwar w izbie. Jedni mówili, że to może nie prawda, a drudzy potwierdzali, że tak musiało być.

Prządki prosiły, żeby już o strachach więcej nie gadali. Wtedy Błażek się wyrwał:

— To ja opowiem o boginkach. Widziałech je na własne oczy, jak prały w potoku.

— Nie! Nie! — zakrzyczeli chłopcy, radzi, że się prządki boją — Niech jeszcze chrzestny ociec powiedzą o strzygoniach.

— Kanyż sie Kasper podział? — zauważyła któraś, w tej myśli, że przerwie opowiadanie.

— Edyć go nima, doprawdy.

— Znowu cosi nowego wystroi...

Ucichły, bo Gawęda rozpoczął już prawić.

— Kiedy tak, to wam opowiem, co sie mnie samemu przytrafiło. Przedtem, nim mnie do wojska wzięli, służyłech na Zalesiu. I tak, jak to wiecie, parobiska — przyszła niedziela, to my sie zeszli do karczmy, a zabawiwszy sie, wracali późno i nieraz mocno napijani. A tam też chadzał se strzygoń po nocy; jak szło dwóch razem, to nimiał śmiałości, ale jak jeden, a spotkał sie z nim, to już mało żywego puścił. My też, rada w uradę, poszliśmy do gróbarza, zanieśliśmy mu kwartę wódki i prosimy go: jeżeli miarkuje, który to tak chodzi, żeby odkopał i przewrócił go w trumnie, bo my tak skądsi słyszeli, że to pomoże. Gróbarz obiecał, że tak zrobi. Ale i to nic nie pomogło. Bo zaraz w niedzielę jeden z towarzyszów naszych, wracając późno, spotkał sie z nim — i ten go zdusił, zdusił i wepchnął do potoka. Szczęście, że mój gazda poszedł wczas rano do kowala — idzie — a tu charczy coś w potoku; wyciągnął

go i zawlókł ledwie dychającego do chałupy. Wtedy ja se pomyślał: „Poczkaj-że ty, kiedy tak“... Poleciał ja, wziął jeszcze kwartę wódki i dalej do gróbarza! Powiadam mu: „Abo mu głowę utnijcie, abo co, bo to nic nie pomogło“. Gróbarz se napił raz i drugi i powiada: „To dobrze, to ja mu utnę głowę“. — „No moiściewy, ino pewnie!“ — „No, nie bój sie już, nie“. Na drugi dzień wypadły imieniny mojego gazdy; i wygnali mnie po wódkę ku samemu wieczorowi, a do karczmy było dalekawo, nim-ech zaszedł, to sie już wieczór zrobił. Żyd mi nalał wódki do flaszek i mnie poczęstował. Ja se jeszcze kazał sam kwaterkę, coby mi sie raźniej szło. Wreszcie śpiewam se i idę; uszedłech już pół drogi, a tu coś gwizda. Obejrzę sie — a tam idzie cosi za mną. „No, pódź-że prędzej, to pódziemy razem!“ I przystanąłech. Skoro przyszedł bliżej — patrzę — a ten niesie łeb pod pazuchą. „Tyś mi to kazał łeb uciąć?“ — powiada...

— O ratunecku! I cóż-eście wtedy zrobili?

— O moiściewy! Jak-ech też zebrał nogi, to nie wiem, kiedych sie znalazł przed chałupą, i telo jeszcze zdołał: kijem prasnąć w okno, że gazda w izbie usłyszał. I to całe szczęście było — bo mnie już przysiadł na ziemi... Gazda przecie z ludźmi wypadł, i obronili.

— No chwałaż Bogu! — odetchnęli ciężko słuchający.

Dziewczęta pociskały kądziele.

— Już nie gadajcie więcej. Nastraszyliście nas, jakże pódziemy?

Kogut zapiał na północ. Już się wszyscy zabierali.

— A kanyż Kasper?

— Ho! ho! ho! On ta nie poszedł spać...

Prządki, przeczuwając jakiś nowy figiel, stanęły w kupce przy drzwiach, razem rzuciły gospodarzom: „Ostańcie z Bogiem!“ i razem wyszły do sieni.

Naraz podniosły straszny wrzask i wpadły, poprzerażane, do izby.

— Ratujcie wszyscy święci! Niebożyczka sie w trumnie rusza...

Wszyscy się w domu potrwożyli. Ale starsi gazdowie, nieco śmielsi, wzięli światło i wyszli wyjrzeć do sieni, a za nimi w kupie młodzi. Patrzą — a niebożyczka, wyrzucona z trumny, leży na ziemi, a trumna zamknięta.

Porębski stary mocno się obruszył:

— Nie! taki figiel, to już żaden śpas...

— Trza ją napowrót włożyć.

Podjęli wieko — a tu w trumnie leży Kasper doznaku umarty.

# O tych, co „tworzą“ i tych, którzy „sądzą“.

Przeciwstawienie zaznaczone w powyższym tytule i wyrażona w ten sposób różnica, jest jedną z tych sztucznych zapór, jakie sobie sami tworzymy na drodze myślenia. Niech jeden z tłumu, kroczącego po niej ślepo, powie głośno: „Obejść tu płot, lub rów!“, wnet stanie i zboczy z drogi jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, setny. I tak tworzy się łuk w drodze, łuk niepotrzebny, po którym ślepy pęd ku gwieździe ideału wlecze duchy tak długo, dopóki ktoś oczu nie otworzy w tem miejscu, i nie krzyknie poza siebie: „hej tam... iść prosto, tu niema przeszkody!“ Wydało się, tak tylko, pod wpływem chwili i skutkiem nie rozeznania się w otoczeniu. Wydało się, jednemu, drugiemu i trzeciemu, i nabrało skamieniałej powagi dogmatu. Wydało sie więc między innemi, że ci co tworzą, to co innego, a ci co ich sądzą, to znowu co innego. Tymczasem tak nie jest; różnica jest tylko ilościowa, a nie jakościowa. Dopiero gdy ona staje się bardzo wielką, można się pomylić i wziąć ją za różnicę istotną.

Każdy człowiek jest do pewnego stopnia obdarzony zdolnością uogólniania, wyszukiwania w wypadku jego cechy niezmiennej. Opowiadając coś, suggeruje w tem, co mówi, wrażenie tem silniej, im więcej zamknął w niem pracy du-

chowej. Różnią się tylko od siebie ludzie materjałem i ilością siły twórczej. Filozof w abstrakcyjnem ujęciu, poeta w opowiadaniu, malarz w barwnej plamie, muzyk w kombinacji tonów daje większą lub mniejszą masę rozmaitych, mniej lub więcej uświadomionych ruchów swojego umysłu. Za nim jeden termin filozoficzny zostanie utworzony, zanim malarz pociągnie tę lub ową linję, a muzyk napisze swój frazes muzyczny, przechodzi on ogromną walkę wewnętrzną. To ma oznaczać ten rys, to tamten, to trzeba zmienić, ażeby ktoś nie wziął tego za coś innego. Ten akord jest wyrazem tego, że się tu nagle coś dzieje, tamten kolor obok tego być nie może, bo by się ten wypchał za nadto. Ta osoba musi być starsza, bo w rzeczywistości taka młoda nie mogła by tego mówić, a to musi być wyrażone dla zrozumienia tej myśli.

Oto mniej więcej dorywczo pochwytane przykłady z takiej roboty. Nie należy rozumieć, żeby to się literalnie tak miało dziać. Bystrość, wprawa itp. sprawiają, że takie poszczególne momenty odbywają się prędzej lub pomałej, że nie potrzebują daleko wchodzić w świadomość, i mogą się dziać niemal odruchowo. Im szczerszy autor, tem bardziej chodzić mu będzie tylko o to, czy się to lub owo zgadza z wizją jego rzeczywistości, lub jego wyobraźni, a drugi bardziej dbać będzie o to, jak sobie to wytłómaczą, trzeci będzie myślał o tem, czy to odpowiada temu, co ludzie nazywają pięknem, oryginalnem, czwarty, co o nim pomyślą, piąty, jaki mu to przyniesie pożytek i tak dalej i dalej w dół po drabinie aspiracji, do coraz błahszych motywów. Ale ostatecznie siłę sugestywną wrażenia stanowi przecież quantum siły duchowej zużytej na walkę z przeciwnościami, jakie podsuwa sąd samego twórcy o dziele w trakcie jego tworzenia. Im większe były trudności, im obfitsze, tem silniej działać potem będzie dzieło samo.

Oczywiście, że potem ta cała masa względów i względzików, pozwalczanych mniej czy więcej dokładnie, nie zdemaskuje się od razu w szczegółach. Sprowadzone do jednego, czy też kilku wyrazów, lub gestów, zamykają one w sobie tylko sam rezultat walki, a zużyte w niej siły dyszą z pod tego, i jakby z utajenia, atakują słuchacza, wywołując w nim reakcję, naprzód ciemną, a potem, w miarę czasu i osobistych kwalifikacyj, coraz to jaśniejszą.

Aby ułatwić zrozumienie tego, posłużyć się muszę pomocą obcą, i zrobić podział słuchaczy. Machiavelli powiedział, że są ludzie, którzy nic sami nie wiedzą, potem tacy, którzy wiedzą, gdy się im coś powie, a wreszcie tacy, którzy wiedzą, chociażby się im nic nie powiedziało. Tego podziału nie należy oczywiście brać tak, jak gdyby w ludzkości były jakieś ściany, które ludzi dzielą w ten sposób. Wszędzie są przejścia, ale ludzki umysł jest taki, że do porozumienia się z drugimi koniecznie potrzebuje pewnych rozgraniczeń.

Analogicznie podzielić można słuchaczy na trzy gatunki: takich, którzy stoją pod dziełem, takich, którzy są na jego poziomie i w końcu takich, którzy stoją ponad niem. I tu zastrzedz się muszę co do kategoryczności samego podziału. I tu, jak tam ścian nie ma żadnych. Słuchacz może stać ponad poziomem jednego dzieła a pod poziomem drugiego, wyższego. Przytem jedne strony dzieła mogą obejmować świat bardziej znany słuchaczowi a inne mniej znany. Jeżeli więc mówię o podziale, to mam na myśli dzieło przeciętnie najwyższe w jakimś przyjętym okresie miejsca i czasu, i słuchacza czystego, tj. człowieka, który coś usłyszał i po pewnym czasie zdaje sprawę z tego co usłyszał. Pomijam wszelkie względy uboczne, jak osobistą niechęć, względy utylitarne, ambicję i tym podobne okoliczności, nie żebym myślał, iż one dadzą się całkiem wykluczyć, ale dla tego, że chcąc dać przykład generalny (paradigma), muszę abstrahować od przypadkowych okoliczności. Podział odnosi się wyłącznie do tego, o ile siła uświadomienia człowieka słuchającego — po pewnym okresie czasu do namysłu — dorównuje sile uświadomienia człowieka przedstawiającego, zużytej na przezwyciężenie trudności.Chodzi mi o scharakteryzowanie trzech możliwości na tej odwrotnej drodze, po której idzie w tych wypadkach sam duch ludzki.

Pierwszem jest to, jak się zachowuje słuchacz, który nie jest wstanie jej odbyć, drugiem, jak ten, który ją już odbywał aż do punktu, na którym stoi autor w swojem dziele, a trzeciem, ten który albo już dawniej ją odbył, albo chodząc bliższymi drogami zaszedł tam, skąd może już patrzeć na dzieło z pewnego oddalenia. Pierwszy słuchacz da tyle tylko z sądu o rzeczy, ile się da wywnioskować z opisu tego, co się z nim działo, gdy słuchał. Drugi powie, kędy to prowadzi droga, po której chadzał twórca, a z sądu da tyle, o ile

powie, czy już przedtem nie chadzano lepiej i prędzej. Trzeci da sam sąd, bo dla niego będzie twórca w dziele przedmiotem obserwacji, tak jak dla twórcy był nim przedstawiony w dziele wypadek czy osoba. Ten trzeci słuchacz, wydając swoją opinię, jeżeli jest całkiem szczerym, będzie się trudził tylko tem, żeby wykazać, jak daleko poszedł twórca na drodze, na której można było pójść dalej. Zaznaczenie tego oddalenia punktu, na którym stoi on sam, od tego, na którym stanął twórca w swojem dziele, będzie stanowiło zawsze istotę sądu takiego słuchacza. Będzie on więc zawsze ujemnym o tyle, o ile się odnosi do twórcy, ale, absolutnie wzięty, będzie zawsze dodatnim, jako zawierający wskazówkę dla dalszej twórczości.

Chodzi teraz o to, jak się te trzy możliwości przedstawiają na konkretnych szczegółach i jakie są tego konsekwencje. *Stanisław Womela.*

4)

# Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

ROZDZIAŁ II.

## EUROPA PRZEDHISTORYCZNA.

Ojczyzną naszą w szerszem znaczeniu jest Europa. Historja tej części świata odcisnęła się na naszej cywilizacji. W Europie dopiero rozwinął się ten typ kultury aryjskiej, która dziś rozpiera się na całym świecic.

Było to w dyluwjum, w ostatniej zanikającej epoce lodowej.

Klimat dzisiejszej północnej Norwegji był klimatem środkowej Europy, foki, pingwiny i reny uwijały się tam, gdzie dziś grzeją się w słońcu kąpielowicze morscy.

Pojawia się wówczas człowiek w tej najmniej przez zmiany ówczesnego klimatu dotkniętej części Europy, we Francji i w Hiszpanji.

Nie znaczy to, żeby go pierwej nie było, prawdopodobnie poprzedzał jaskiniowego człowieka według znakomitego znawcy jaskiń angielskich Boy Dawkinsa, człowiek „ujść rzecznych“ — który przed epoką czwartorzędną, to jest ostatnią w geologji, w towarzystwie „Elephas antiquus“ (Słonia starszego typu) istniał w Europie. (Lud. Büchner. Hell. K. g. tom VI. str. 191).

Człowiek ten trzeciorzędowy zdaje się że ustąpił przed napływowymi lodami miejsca ludzkości jaskiniowej. (Okres megalithyczny).

Jaskiniowiec dopiero wtedy ślady swojej bytności pozostawił w grotach, kiedy mu się udało z kawałków kości lub drzewa i obłupanego odpowiednio krzemienia, lub którego z Nephroidów, jadeitu naprzykład, uzyskać topór, broń, zdolną wyprzeć drapieżne zwierzęta, zamieszkujące jaskinie, ciepłe temperaturą dobywającą się z wnętrza. mniej wówczas ostygłej ziemi.

Francja, Anglja, Włochy, Szwajcarja i Węgry pełne są tych grot, będących kiedyś miejscem zamieszkania.

Bertrand liczył w r. 1874 w 40 rozmaitych departamentach Francji, około 400 jaskiń, niegdyś zamieszkałych.

Obok naturalnych grot, trafiają się sztucznie drążone jaskinie, które pierwotny człowiek wykuł w kredowym pokładzie gór Jurajskich. U nas w krakowskiem, w Bubniskach nad Dniestrem, w Uryczu w Beskidzie, znajdziemy ślad jaskiniowego mieszkania przedhistorycznych ludów. Człowiek trzeciorzędowy, razem z człowiekiem jaskiniowym dawniejszej epoki, należał według Dawkinsa „do okresu paleolitycznego, **nie polerował jeszcze kamienia,** nie znał jeszcze garncarstwa, rolnictwa i chowu bydła, nie miał zwierząt domowych, odziewał się w skóry zwierzęce, był długogłowcem i pochyłozębnym, a żył z polowania“. Ku końcowi okresu lodowego, kiedy ciepło

wzrosło, człowiek jaskiniowy został wyparty przez „ludzia“ neolitycznych czasów, który przyszedł z Azji i nigdy zupełnie już wyplenionym nie został (cyt. u Büchnera. Hellwald Kulturgesch. Tom I. str. 191).

Człowiek ten „azjatycki“ umiał polerować krzemień, urządzać sobie sztuczne domostwa, a groty opustoszałe służyły jeszcze długo w czasach wojen religijnych i prześladowań, jako ucieczka, a wyjątkowo jeszcze we Włoszech i Chinach do dziś jako codzienne mieszkanie.

Szczególnie interesującą jest słynna grota Św. Magdaleny, w departamencie Dordogne w południowej Francji. Po raz pierwszy spotykamy się w niej z „dziełami sztuki“ jaskiniowego człowieka.

Są to rysunki i zarysy przeróżnych przedmiotów, a zwłaszcza zwierząt, które to szkice czyniono za pomocą rylca krzemiennnego na kościach.

Znajdują się wśród nich wyborne odtworzenia, jak naprzykład na pół złamanej płytce z kości słoniowej odnaleziony obraz trzech kroczących za sobą mamutów. — Z jaskini Bruniquel są rysunki rena, konia, koziorożca, węża, łososia, niedźwiedzia jaskiniowego, słonia, tura, jelenia, psa morskiego, obok ptaków i gadów.

W Szwajcarji, w sławnej grocie Kesslera koło Szafuzy, odnaleziono obok resztek kultury jaskiniowego człowieka, szczątki małego konia czasów dyluwialnych, który zdaje się służył człowiekowi wówczas za główne pożywienie.

Z rzeźby szczególnie znaną jest z rogu rena wycięta głowa piżmowca, który dzisiaj zupełnie na północ się usunął, razem z tą uzdolnioną artystycznie rasą długogłową, posiadającą, jak mówi Krzywicki, „względnie twarz szeroka, wązkie oczodoły, wysokorosły wzrost“. Ci pierwsi artyści, byli to myśliwi, stojący w tej fazie rozwoju, co Indjanie dzisiejsi północnej Ameryki. Myśliwi ci wywędrowali częściowo wraz z reniferem na północ, do Szwecji i Danji“. (Krzywicki, Ludy str. 250.)

Z czasem zmieniającego się bowiem nachylenia ziemi do słońca (insolacji, jak nazywają to twórcy powyższej hypotezy, tłumaczącej istnienie epoki lodowej, uczeni Kroll, Pilar, Wallace i Pench), ośrodek zimna przesunął się znowu w niezmierzonej linji czasów ku biegunowi północnemu *).

*) W ostatnich czasach powstała nowa próba tłómaczenia epoki lodowej. Panowie Paweł i Fritz Sarasin (Verhandl. d. Naturforschenden Gesell. in Basel 1901. Zesz. 3.) wskazując, że lodowej epoce towarzyszy obniżenie stanu ciepłoty n a c a ł e j z i e m i, przy tych samych prądach morskich i rozdziale różnic w temperaturze co dziś, wyjaśniają ówczesny spadek ilości ciepła (z położenia wiecznej linji śniegów w okresie lodowym (Pench) obliczono, że ubytek ciepła o 6 stopni Celzjusza w porównaniu do dziś, przedstawia n a j s k r a j n i e j s z ą zmianę zimna, którą dla lodowej epoki przyjąć należy) masowymi wybuchami wulkanów, które wyrzucając olbrzymie kłęby obłoczne kurzu wulkanicznego, zdolne były osłabić siłę promieniowania słońca i podnieść ilość opadów. Jako dowód przytaczają powyżsi uczeni wybuch wulkanu Krakatau w lecie w r. 1883, którego masa wyrzutowa wynosiła pomiędzy 16—20 sześciennych kilometrow, a rzucona była na blisko 40 kilometrów w górę. — Masa ta okrążyła ziemię 3 do cztery razy, a obniżając się została porwaną do umiarkowanych okolic, okrywając welonem dymnym ziemię. — Wówczas to rzucały się w oczy jaskrawo czerwone zachody i wschody słońca, o których pisano szeroko i długo, a więcej jeszcze rozprawiano. W równikowych okolicach pył ten był tak gęsty, że zasłaniał słońce zupełnie, kiedy nad widnokręgiem ledwo co się wzniosło. Welon ten z m n i e j s z y ł gwałtownie promieniowanie światła i ciepła, a cząstki pyłu działając jako ziarno, około których para wodna skraplać się mogła, wywoływać musiały częstszą ilość opadów powietrznych i mgieł. Na Mauritiusie stwierdzono w onych czasach większą ilość burz, i ogólnie zauważono zwiększenie się wilgoci w powietrzu. Jeśli odniesiemy to wszystko do końca epoki trzeciorzędowej i całej dyluwialnej, to odnajdziemy znamienne dla tych czasów wżarcia się wód na brzegach dzisiejszych lądów stałych. Znak to potwornie wybujałych i długi czas trwających wybuchów wulkanicznych, wobec których dzisiejsze wybuchy słabym są odblaskiem. Masy pyłu wulkanicznego więc rzucone w powietrze, zasłaniając słońce i powodując znaczniejszą ilość opadów, mogły najzupełniej obniżyć ciepłotę na powierzchni ziemi o 6 stopni Cel., co znów wystarczało dla utworzenia się powłoki lodowej, tam gdzie dziś kołyszą się fale zbóż i szumią lasy. W czasie epoki lodowej zaznaczają się międzylodowe okresy, wzmożeniem się ciepłoty i cofaniem lodów znamienne. — Panowie Sarasin tłómaczą to zjawisko przerwą w czynności wulkanów i umniejszeniem się pyłu i popiołu wulkanicznego w powietrzu. Za teorją powyższą przemawia i to, że u końca okresu węgla kamiennego i w czasie Permskiej formacji, w którym to czasie panowały gwałtowne wybuchy wulkaniczne, również są dane (nieuwarstwowione rumowiska, gładzone i porysowane skały), które za okresem lodowym dawniejszym przemawiają. Panowie Sarasin przychodzą więc do wniosku, że „p o m i ę d z y o g n i e m w n ę t r z a z i e m i i s p o t ę g o w a n i e m j e g o c z y n n o ś c i a p o m i ę d z y o k r e s a m i l o d o w y m i i s t n i e j e p r z y c z y n o w y z w i ą z e k“.

Lodowce ustąpiły z północnego pobrzeża środkowej Europy, cofnęły się w góry w okolicach Alp, a na ich miejsce rozpostarła się na poły bagnista nie wiele rozmarzająca tundra o półstepowym charakterze.

Istnienia jej dowiódł Alfred Nehring, badając faunę przedhistorycznych grot niemieckich i węgierskich. Znalazł w nich bowiem szczątki kości skoczków stepowych tego gatunku, który żyje obecnie w stepach Azji i Europy wschodniej (Zeitschrift für Ethnologie tom 13, rok 1887, str. 107).

Na tundrach tych jedne miejsca obsychały, natomiast gdzieindziej znowu szumiące roztopami rzeki, zwłaszcza ku ujściom, tworzyły bagna i moczary.

Z jaskini wysunął się człowiek na świat boży, i chroniąc się przed dzikiemi zwierzętami, a także przed wilgocią moczarów, wybudował mieszkania na palach, w których znowu przebył długie tysiące lat.

Zaś na suchszych miejscach, może wśród lasów, jakby odległym wspomnieniom jaskiniowych mieszkań hołdując, chował zmarłe w małych sztucznie uczynionych kamiennych grotach, ustawiał im szeregi kamieni, lub też jedne na drugich, tak zwane dolmeny, którymi zasiane są pola przedhistorycznych czasów, a które szczególniej piękne we Francji oglądać można. Miarkując po tych olbrzymich często dolmenach, służących zapewne za groby całym plemionom, spotykamy się w Europie, jak to zresztą także z mieszkań palowych wnosić można, z pierwszymi objawami gromadnego życia. W tym czasie zjawia się zapewne, jeden z najstarszych sprzętów, plecionka koszowa z wikliny, trzcina, druga bagnista roślina, użyta jest na matę, z lnu czynią się tkaniny, sieć na ryby, sznur i dziane na kołeczkach płócienko. Kosz oblepiony gliną i wypalony dawał pierwsze urny i garnki, noszące na sobie, jak to z niektórych egzemplarzy terrakotowych w Anglji znalezionych, wnosić można, aż nazbyt widoczne ślady w zdobnictwie swego oparcia się o plecionkę koszową *).

*Kazimierz Mokłowski.*

STEFAN RYCERSKI.

# PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Zacierał ręce, uszczęśliwiony swoim fortelem.

— Ja chciał panu zaraz o tem powiedzieć; gdym tylko krzyż sprostowany zobaczył, zaraz pomyślałem o śledztwie, czatowałem, kiedyś pan wracał do Maliniec, prawie dzień cały przy płocie. Cóż?... pan przejechał, spojrzał i splunął. Ot, taka tobie rozmowa, wara ci psie zbliżyć się do porządnych ludzi.

Berwicz zrobił ruch, jakby mu chciał zaprzeczyć, ale on mówił dalej.

— Daj Pan pokój. Cóż to ja, że dziś prawosławny, niemam już oczów i uszu? Nie widzę, jak na mnie patrzycie. A przecież Pan Bóg jest jeden, czy tak, czy inak się do niego modlić — rozumie.

Tych słów Berwicz nie mógł zostawić bez odpowiedzi.

— Panie Jedniewicz — przerwał — żeś osłonił Malińce od prześladowania, zrobiłeś poczciwie i Bóg ci to pewno na sądzie ostatecznym porachuje... No, ale reszta, reszty nie tykajmy... Zaparłeś się swojej wiary... to trudno... wiesz dobrze, jak się to nazywa.

— Aha! renegat! renegat!... łatwo to powiedzieć.

*) Myliłby się ten, któryby przyjmował zbytnią rozciągłość lasów na północy środkowej Europy. Im bliżej morza, tem były rzadsze, rosnąc jedynie na suchszych wydmach lub ostrowach. „Przyszliśmy do lasu, który był jedyny w tem miejscu na całej równinie“ pisze Helmold o dolnej Połabji w 13 stuleciu, księga 83.

— Ludzie za wiarę krew przelewają, idą na męczeństwo... A pan?... Na co to mówić. Wszyscyśmy grzeszni, ale pan?... Wyrzec się wiary, ojczyzny, wieść na zgubę lud, którego byłeś pasterzem... Nie chciałbym w tej chwili mówić ci rzeczy przykrych... Bóg widzi... Zresztą na co? Ot, dajmy pokój...

— Otóż nie. Ja raz muszę wypowiedzieć, co mam w duszy. Widzicie teraz, że Jedniewicz nie taki djabeł, jak myślicie. A mogliście z niego zrobić djabła. Ot, ta święta pani, choć uratowała mi dziecko, niech jej Bóg za to błogosławi, patrzała na mnie ze zgrozą... Nie byłaby za nic w świecie przełamała skórki chleba, wypiła kropli wody w moim domu... Za co? za co?

— Czy pan naprawdę nie rozumie.

— No cóż, jestem tutaj jak byłem dawniej, chrzczę,śluby daję, grzebię...

— Po szyzmatycku.

— Każą! trudno. A pan, jak jesteś w powiecie, mówisz po rusku, chociaż ci język posłuszeństwa odmawia, choć o mało nie zadławisz się każdem słowem... Mus panie najdroższy, mus, siła. Sile uledz trzeba. A ja nieraz myślę, czemu Bóg najwyższy swojej służby nie broni.

— Co też Pan wygadujesz. Czy pan nie zna żywotów Świętych? nie wie, że Bóg zsyła na ludzi próby.

Jedniewicz spuścił głowę.

— Jest próba i próba... — wyrzekł zwolna — A cóż ja? ja grzeszny człowiek, nie żaden święty. Urodziłem się tutaj, wzrosłem, wychowałem, na cmentarzu pochowałem ojca i matkę i ot, żyłem, jak Bóg przykazał. Ożeniłem się, miałem dzieci... Było ich dwoje, gdy przyszedł zły czas...

Głos mu się załamał.

— Dwoje drobnych ust, jak piskląt w gnieździe, które odemnie czekały pożywienia. Co panu będę gadał, panie Berwicz, nie miałeś dzieci, nigdy ich jasne oczki nie patrzyły na ciebie uśmiechnione, trwożne, spragnione, a tyś nie pomyślał, co one zrobią, gdy ojca nie stanie.

— Co tu gadać, panie Jedniewicz, pojąłeś złą kobietę i ona cię zgubiła.

— Może ona i zła, a zawsze to matka — za dzieci oddałaby duszę.

— I tyś jej usłuchał?

— Może jej, może siebie samego. Oj, panie Berwicz, ty tego nie widział, ale to był sądny dzień w Malińcach... Zjechali żandarmi, kozacy popi, urzędnicy. Żona zawodziła, dzieci płakały, mój starszy Władek był jeszcze w kolebce, patrzał na mnie, jak gdyby rozumiał i ręce wyciągał i wołał: Tata, tata, tak żałośnie, że mi się serce krajało. Mój Władek, rumiany, bielutki, ze złotemi włoskami, jak aniołek w ołtarzu... Patrzałem na te ściany, wśród których czołgałem się dzieckiem, na drzewa, którem sadził, szczepił, hodował. Myślałem, że już przyszła na mnie ostatnia godzina... taka straszna żałość. A wszyscy powtarzają: „Chcesz, zostań, nic się nie zmieni, nic, nic i powtarzają ciągle...

— Jakto nic?

— Cóż ja nie święty, zostałem — mówił dalej nie zważając na przerwę, jakby sam do siebie.

Spuścił głowę i stał przez chwilę zamyślony, pogrążony we wspomnieniach, a tak smutny, zgnębiony, pokorny, że Berwicz uczuł nad nim litość.

— Zostałem — mówił dalej — ale odtąd wszystko już było inaczej. Człowiek sobie to i owo przedkłada, tłumaczy, chce wyperswadować i ja nibym sobie perswadował, że siła, że mus, że nie moja wina. Cóż, kiedy ilem razy wszedł do cerkwi, tak odmienionej, to mnie coś w piersiach dławiło, chwytało za gardło, żebym płakał i wył, jak wściekły.

— Sumienie, panie Jedniewicz, sumienie!

— Nie mogłem znaleść sobie miejsca. Potem dzieci umierały i nie miałem już o czyjem pożywieniu myśleć. Może to i lepiej, bo coby się tu z nimi stało. Wymawianoby im pewno to, co ja zrobiłem. Ot, ja Panu wszystko mówię, tak jak było, nie wiem czemu, ale mówię, chciałbym panu duszę otworzyć. Bo mi się pogarda ludzka przejadła, uciekał ja od niej jak mógł, jak umiał i piłem i śmiałem się i bawiłem. Wszystko próżno. Czułem ją zawsze na sobie, niby kamień; a jak ludzie na mnie patrzą, to chciałbym iść gdzie i skryć się, a chociaż nie chcę, muszę spuścić oczy.

— Czujesz pan, żeś źle postąpił.

Jakby nie słyszał przerw żadnych, Jedniewicz mówił powoli, z przerwami, naglony koniecznością jakąś, z której sam sobie sprawy nie zdawał. Siedział na murawie wybrzeża z wędką, puszczoną swobodnie, kapelusz leżał przy nim, a długie, wiecznie splatane kosmyki włosów, spadały mu na ramiona, i rozwiane wiatrem, zasłaniały mu spuszczone oczy.

— A najlepiej mi jeszcze — ciągnął dalej — w moim sadzie. Pszczoły latają koło mnie, gołębie siadają na ramionach i nie pytają, czy ja prawosławny. Kwiaty pachną dla mnie jak dla innych, drzewa nie skąpią owoców. I gdybym mógł wcale ludzi nie widzieć, to kto wie?... możebym zapomniał... i był szczęśliwy, jak dawniej.

— Nie zapomniałbyś pan, nie. Złego czynu nie zapomina się nigdy.

Jedniewicz podniósł się nagle dotknięty. Wzruszenie jego minęło.

— Ot, zły czyn, pan zawsze swoje. Zły czyn? Jaki? Łatwo wam panom gadać o poświęceniu. Brzeszcz zginął, to prawda, ale jego córka nie poszła z torbą, na rozstajne drogi, jest panią na Malińcach, jak była. A Brzeszcz? Możnaby powiedzieć, że umarł młodo. Albo to jeden młodo umiera? Że zabili go w pojedynku. Czy to panowie raz wraz z fantazji nie stawiają życia na kartę. No, on przegrał. Wy panowie macie swoje fantazje. Oj, gdyby nie wy.

— Jakto, gdyby nie my? Co chcesz pan powiedzieć — zawołał zniecierpliwiony Berwicz.

(C. d. n.)

## Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Poezje.* Włodzimierz Perzyński. Warszawa, Wydawn. Wł. Okręta 1902.

Powiedziano o tym tomiku, że przyszedł zapóźno, jak gdyby prawdziwa poezja zapóźno, lub zawcześnie wogóle przychodzić mogła. A poezja Perzyńskiego jest poezją prawdziwą: może nie koniecznie poezją duszy, (tej „duszy“, o której tyle rozprawiają dziś ci, którzy na jednem rondzie lub sonecie tryumfalnie wjeżdżają na wyżyny absolutu), może tylko po prostu poezją... serca, w każdym razie jest prawdziwą sztuką, szczerym, i indywidualnym a bardzo artystycznym przeważnie wyrazem pewnej, wyraźnie zarysowującej się organizacji poetyckiej. A organizacja ta, której podkład stanowi odwieczny rozdźwięk pomiędzy wizją poety a rzeczywistością, mało jest zapewne skomplikowana, choć nawskróś współczesna w swych wzlotach nieustannych i upadkach, posiada jednak swoje bardzo indywidualne zabarwienie, jakiś ogromnie szczery wdzięk pełen prostoty, wiele jakiejś specjalnej a znużenia pełnej melancholji. Czasem w szeroki gest zrozpaczonej desinwoltury przechodząc, ma wiele z tego heinowskiego „śmiechu przez łzy“, przez który „pęknięcie serca“ przegląda, a w którym więcej łez jest, niż śmiechu, choć śmiech ten tak głośno, za głośno czasem rozbrzmiewa... Nie tyle zresztą zawartością, nie nową, ani zbyt wybitnie indywidualną, ile sposobem wypowiedzenia się działa poezja Perzyńskiego, więc formą przeważnie doskonałą, nieraz dziwnie rozspiewaną, pieściwą i ukojną, we wierszach erotycznych zwłaszcza (Uajali, Pieśń o oczach), nieraz jednak pełną silnych, prawdziwie męskich akcentów (Przysięga, Pieśń niewolnika), to znowu pastelowo rozwiewną (Na drzwi wiodące do sypialni zmarłej margrabiny) lub groteskowo rozbujałą (największy i najciekawszy może z całego tomiku poemacik: Bez tytułu), a zawsze pełną smaku i prawdziwej artystycznej miary. Są tu rzeczy piękne i tylko „ładne“, szczere i mniej szczere, rzeczy banalnych nie ma, choć wiele jest tak zwyczajnych; wszędzie czuć, że ma się do czynienia z artystą. Ten skromnie bez wszelkich ozdób wydany tomik zajmie też w niebywałej jeszcze powodzi ostatnimi czasy wydanych poezji (co żyje i pisze wierszem, tomik wydać dziś musi koniecznie!) miejsce nie pierwszorzędne zapewne, ale w każdym razie jedno ze zaszczytniejszych, jak je zajął już u tych, którzy nie widzą w poezji materjału do zapełniania szufladek różnych swoich programów, ale przedewszystkiem szczerości i artystycznego wyrazu w niej szukają. *A. C.*

*

*Dusze współczesne* (wrażenia literackie). Jan Sten. Lwów. Polskie Tow. nakł. 1902. Autor nazwał treść swojej książki „wrażeniami literackiemi“ a ponadto w przedmowie do niej pisze, że nie kusił się „o wszechstronne wyczerpanie obrazu, że w jego książce „nie ma ani krytycznych ocen, ani sądów“, chcąc w ten sposób z góry uprzedzić zarzuty co do wierności obrazów tych szesnastu pisarzy, którzy obecnie w młodszej literaturze polskiej zajęli najwybitniejsze stanowiska. Wszystko to jednak chybia celu. Tego, co w tej książce jest złem nie usunie autor ani w opinji o nim u czytelnika krytycznego, ani co do ujemnego działania, jakie wywrzeć mogą te „wrażenia“ na czytelniku naiwnym. Pierwszy przekona się wnet, zwłaszcza jeżeli zna charakteryzowanych przez p. Stena pisarzy, że przedstawieni są w wielkiej części bardziej nawet jednostronnie, niżby to być mogło na zasadzie wrażeniowej. Czytelnik zaś naiwny zastrzeżenia te weźmie za zwyczajną skromność autorską, podda się suggestji literackiej i nabierze fałszywych często wyobrażeń, tem szkodliwszych, że żywo i z wielkim nakładem sprytu podsuniętych.

Pan Sten, wbrew zapowiedzi, nie kieruje się wrażeniem, lecz za nim przystępuje do pisania o kimś, szuka w dziełach jego lub w nim samym o k a z j i do streszczenia go w jak najkrótszem zdaniu. Kasprowicz to „poeta, który nigdy nie ukochał piękna“, dla tego, że w wierszach jego znalazł łamanie się z tem, co wedle utartych wyobrażeń nazywa się piękną formą. Staff to „poeta w dzięku“ dla tego znowu, że ma formę wyrobioną. Orkan „nie wyszedł po za Porębę“ dla tego, że

rzeczy jego należą lokalnie do tej okolicy. Tetmajer to znowu tylko „tęsknota“. Feldmann „walka“ etc. etc. Oto paradoksy zaczerpnięte z powierzchni, na których wspierają się potem sylwetki autorów. Dobre to tylko u tych, którzy w treści swoich dzieł silnie jednostronnie się narzucają, jak Przybyszewski, Dąbrowski i i. Czasem np. z Niemojewskim robi p. Sten tak, że nie mając przekonania do społecznego pierwiastka, dominującego u tego poety, pisze do „pana Andrzeja list“, w którym usprawiedliwia się, że odmówił mu był raz tytułu „modernisty“. Mając coś takiego, p. Sten dba już tylko o to, żeby poprzytaczać wszystko, co do założenia przystaje, tam, gdzie mu tego potrzeba, naciąga nawet szczegóły, pstrzy to wszystko obficie wspomnieniami osobistych stosunków i wogóle stara się, żeby był zajmującym, dowcipnym, żeby obraz był jednolitym a co się dzieje z wewnętrzną wartością charakteryzowanych autorów o to mniejsza.

Oczywiście, że takie zauważenia pewnych cech, dobre w pół żartobliwej pogadance kawiarnianej między artystami, krzywdzą rzecz, gdy idą w świat jako charakterystyki. Jeszcze tacy, jak Żeromski, Wyspiański, Reymont, Żuławski mniej na tem cierpią, bo z ich sylwetek widać od razu, że ich p. Sten nie uchwycił „w syntezie“, ale poprzednio wymienieni są spaczeni. Są to bowiem nie szczerze podane wrażenia, lecz właśnie wyrafinowane karykaturki, tem bardziej szkodliwe im bardziej sprytnym i, jak to niemcy nazywają, „*geistreich*“ jest karykaturzysta w doborze nadających mu się rysów charakterystycznych. Wyspiański rysuje znakomicie w kilku linjach rozmaite znane wielkości światowe, ale pokazuje je tylko znajomym, albo umieszcza je w piśmie humorystycznem „Chochoł“. Każdy wie, że to są takie tylko przyjemne zabawki, w których chodzi o to jak on to zręcznie chwyta sobie tych panów.

P. Sten powinien był, puszczając w świat swoje „Dusze współczesne“, także zaopatrzyć je w więcej autoironji literackiej, aby i ludzie nie brali wszystkiego zbyt poważnie. *S. W.*

---

PISMA. *Wędrowiec.* Od czasu przejścia tego rywala: „Tygodnika Ilustrowanego“, pod redakcją p. Artura Opmana (Or-ota), pismo ożywiło się znacznie, zarówno pod względem treściowym, jakoteż ilustracyjnym. Nie odstępując od szablonu polskiego *Familjenblattu* ilustrowanego, stało się jednak, ogólnie biorąc, bardziej aktualnem. Wśród prac, zawartych w trzech ostatnich numerach „Wędrowca“, zasługują na uwagę głównie dwie: jedna dla zasadniczego stanowiska, jakie w niej zajmuje autor wobec właśnie powstającej kwestji, a druga dla ważności poruszonej sprawy.

W pracy p. t.: „Zamierzenie krakowskiej Akademji Umiejętności“, zabiera głos p. Kazimierz Kaszewski w sprawie zamiaru krakowskiej Akademji Umiejętności wydawania tłumaczeń ze starożytnych pisarzy greckich i rzymskich. Głos ten jest zajmującym diatego, że tu p. Kaszewski, aczkolwiek klasyk z zawodu i upodobań, walczący namiętnie w obronie wartości dzieł literatury klasycznej dla pedagogji szkolnej, oświadcza się przeciwko zamiarowi Akademji Umiejętności. Kto z zamiłowania jest klasykiem, ten nie potrzebuje tłómaczeń i pójdzie do oryginałów. Jeżeli zaś chodzi o to, żeby po wyrugowaniu języków klasycznych ze szkół, zachować skarby ducha ludzkiego, zamknięte w literaturze klasycznej, to i to — zdaniem p. Kaszewskiego — nie jest wskazanem w ten sposób, jak to Akademja zamierza. Doskonałych tłumaczeń jest mnóstwo w językach: angielskim, francuskim i niemieckim, a po wyrugowaniu ze szkół łaciny i greki, języki nowożytne będą w szkołach głównym przedmiotem nauki i młodzież będzie mogła korzystać z tłumaczeń obcych. Lepiejby było, gdyby Akademja fundusze, przeznaczone na ten chybiony zamiar, obróciła na wydawnictwo dobrych monografji pisarzy klasycznych.

Druga praca omawia sprawę „Wydawnictw popularnych“. Autor jej, p. Orsza, wskazując na niebezpieczeństwo, wynikające z różnicy, zachodzącej między warstwami oświeconemi a nieoświeconemi nawołuje do wydawania dzieł popularnych, które zalecają się więcej treścią, niż formą i robi na końcu rodzaj bilansu z działalności kilku lat ostatnich w tym kierunku. Owoż wedle autora, wiele dziedzin pożądanych do zaznajomienia z nimi ludu, leży odłogiem. Z monografji ludowych wylicza p. Orsza: „Opisanie Królestwa polskiego“ Sikorskiej, „Juljusz Słowacki“ Morzyckiej, „Szwajcarja, jej przyroda i mieszkańcy“ tej samej autorki, „Nasi pobratymcy Słowacy“, „Na wojnie Burów“ i „Państwo niebieskie“ Żórawskiego, „Z niedzieli do środy“, „Młodzieńcze lata Bolesława Krzywoustego, według kroniki Galla“, „Zarys dziejów litewskich“. Po tem następuje szereg powieści, a w końcu kilka dziełek pouczających, jak: „Drzewa przy drogach“, „O uroczystości sadzenia drzew“ Karczewskiego, „Co można widzieć przez szkła powiększające“ Starzeńskiej, „O budowie zagród włościańskich“ Moraczewskiego, „Jak się żywimy, a jak żywić się i o co starać potrzeba“. W końcu wymienia autor kalendarz „Gospodarz“ i na tem zamyka sprawozdanie z ruchu wydawniczego dzieł popularnych. (*S. W.*)

*

„*Chochoł*“. Trzeci numer tego wesołego pisemka znamionuje postęp znaczny — wciąż jednak tylko pod względem rysunkowym, gdyż tekst jego, duch cały wogóle ciągle jeszcze cierpi na blednicę. To nie ludzie, którzy, jak założyciele „Simplicissimusa“, lub pierwotnej „Jugend“ monachijskiej (którą „Chochoł“ obecnie w typie najbardziej przypomina) występują ze śmiałą, szerokie horyzonty obejmującą satyrą, gdzie każdy cios wymierzony jest ze świadomością celu, a rysunek, czy wiersz, nie przestając być sztuką, jest tylko jednym z tysiąca wyrazem rewolucyjnej idei etycznej, społecznej, estetycznej czy politycznej — to na razie tylko gromadka młodych artystów, bawiących się w humor, to rysunki na ogół bardzo dobre z doczepionym do nich dość luźnie, banalnym przeważnie tekstem, to silenie się na dowcip, rzadko dowcip prawdziwy, ale jeszcze nie satyra. Jaki jest (a spodziewajmy się, że w dalszych tekst dorównywać będzie zwolna stronie illustracyjnej), numer ten illustracyjnie bardzo jest bogaty. „Greatattration“ jego stanowią ciekawe karykatury historyczne Wyspiańskiego a rysunki Pola, Pautscha, Krasnodębskiego, Foycza i Sichnowskiego, choć znać na nich nieco wpływ

wzorów monachijskich, składają się na całość zupełnie artystyczną, jakiej dotąd żadne u nas pismo humorystyczne nie posiadało. *A. C.*

SZTUKA. *Malarz krzywdy społecznej.* Wśród młodych czeskich artystów wysuwa się coraz to więcej na pierwszy plan malarz, Emil Holarek, który w treści swoich dzieł odznacza się nadzwyczajnem odczuwaniem niesprawiedliwości i zła, jakie nurtuje współczesne życie społeczne. Wszystko, co na świecie się dzieje, rozumie i przedstawia Holarek za pośrednictwem tych, którzy, dzięki temu, co się dzieje, są biedni i nieszczęśliwi.

Malując obraz na pobojowisku, każe Holarek grozę i barbarzyństwo najstraszniejszej plagi ludzkości, wojny, rozumieć nietylko przez masy pomordowanych ciał i posępny nastrój całości. Z pomiędzy tych ciał podnosi się żołnierz ranny, a w jego twarzy przebija się wszystko: i cierpienia fizyczne i przerażenie i daremne pragnienie przedarcia się między żywych. Cykl p. t.: „Noc“ jest tak samo częścią życia odczutą i podsuniętą widzowi zapomocą niedoli tych, co cierpią dzięki nierównościom społecznym. W pierwszych dwóch obrazach przedstawieni są ludzie, którym jest dobrze na świecie. Matka nad dwojgiem dzieci śpiących w paradnem łóżeczku, a w drugim eleganccy panowie przegrywają sobie w karty całe kupy złota. Tymczasem równocześnie, po za murem, dzielącym ich od świata, dzieją się inne rzeczy. Matka biedna płacze u łoża wynędzniałej dzieciny. Jakiś staruszek, prowadzony przez małą dziewczynkę, idzie ze skrzypcami w ręku po dniu spędzonym w mozole. Dalej więzień z wtłoczoną w skute ramiona głową,—dom nocnego przytułku, zapełniony bezdomnymi nędzarzami, — szwaczka, tracąca zdrowie nad suknią balową dla jakiejś damy, a w końcu kawał cmentarza: wspaniałe pomniki i sarkofagi sterczą wysoko ponad biedną bracią małych krzyżyków, oto ostatnie widome znaki rożnic społecznych... tam, pod tymi znakami, próchnieją jednako, wielcy i mali, możni i ubodzy.

Oto treść obrazów Holarka. Odczuwa on to wszystko jeszcze bardzo bezpośrednio, blisko, jak człowiek, który istotą swoją nie zdołał się wydobyć z porównań, nie uogólnia, lecz przykładowo przedstawia, co czuje, ale z przeprowadzenia widać, że czuje głęboko, podobnie, jak to u nas *in puncto* uczuć narodowych było z Grottgerem. To podobieństwo odbija się też na ogolnym charakterze obrazów Holarka. (*S. W.*)

*

*Protest* przeciwko wprawieniu witraży niemieckich na Wawelu, zainicjowany przez wojowniczego p. F. Jasieńskiego, który — jak pisze „Kraj“ — długo w Krakowie godnego siebie szukał przeciwnika, a podpisany gremjalnie przez krakowską Akademję sztuk pięknych i 18 profesorów uniwersytetu, napsuł już dość krwi sferom, za restaurację odpowiedzialnym, jak świadczy o tem choćby żałobny komentarz, w który „Przegląd“ lwowski protest ten zaopatrzył... skutków jednak realnych tego protestu przesądzać wcale nie należy. Ocknienie się z apatji, choćby spóźnione jest zawsze faktem dodatnim, często jednak platonicznem tylko a bardzo polskiem „ratowaniem honoru“ ze strony tych, którzy we właściwym czasie nie mieli dość śmiałości, czy energji, by z należytą powagą i mocą przeciwko złemu zaoponować. Czyż Akademja sztuk pięknych, która to przedewszystkiem do zabrania głosu była powołana i zobowiązana, dziś dopiero dowiedziała się o zamówieniu witraży w Innsbrucku, czyż dziś dopiero nagle otwarły się jej oczy na gospodarkę p. Odrzywolskiego?... Nie chcemy dolewać oliwy do ognia osobistych niesnasek i zawiści, sądzimy jednak, że d z i ś nie drogą protestów, ale chyba przez zawezwanie społeczeństwa do wstrzymania dalszych składek, dopóki dzisiejszego sposobu prowadzenia budowy nie zniesiono, możnaby jedynie wprowadzić ład i uzyskać gwarancję dalszego ładu w tym nieładzie, jaki się obecnie tam nad Wisłą wytworzył. *A. C.*

NOTATKI. *Bibljoteka samokształcenia.* Więcej światła, więcej nauki! Pod takiem hasłem postanowiła redakcja „Poradnika dla czytających“ wnieść do mas szerokich naukę przeważnie niedostępną dla nich. Książka naukowa rzadko ukazuje się u nas, a swą wysoką ceną odstrasza czytelnika. Ukazują się i rzeczy tańsze, lecz te swoją wartością, zazwyczaj bardzo mierną, nie mogą pociągnąć. Potrzeba zaś samokształcenia, która ostatniemi czasy dokazała takiego postępu u nas, oczekuje tej chwili, kiedyby rozpoczęto systematyczne wydawnictwo książek naukowych tanich a dobrych. Kierując się temi pobudkami, redakcja „Poradnika dla czytających książki“, przystępuje do wydania szeregu tanich wydawnictw. Pierwsza książka ukazuje się 1-go marca b. r. i w przeciącu tego roku wyjdzie 20 tomów, każdy zawierający od 6—9 ark. druku. Wydawnictwo między innemi obejmie: Dr. Gorzycki: Historja chłopów w dawnej Polsce do zniesienia poddaństwa. Höffding: Etyka. Jevons St.: Logika. T. O. Mason: Udział kobiety w pierwotnej kulturze. Haeckel Dzieje utworzenia przyrody. E. Clodd: Historya pierwotnego człowieka. J. Żuławski: Spinoza-człowiek i dzieło. Scherr: Historja komedji ludzkiej. Radliński: Historja antropologji. Chambres: Opowiadanie o gwiazdach. Neumayer: Drzewo rodowodowe zwierząt. L. Woltman: Darwinizm społeczny. O Wilde: Krytyka artystyczna. M. Kowalewski: Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie. A Sutherland: Początek i wzrost insntyktów moralnych etc.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8